

Artur Ławniczak¹

Umieranie państwa

Przemijanie jest nagminnym zjawiskiem w biosferze, konstytuowanej przez zróżnicowane ożywione organizmy, podlegające prawidłowości przemijania. Doświadczają go nie tylko pojedyncze osobniki, lecz także całe ich wspólnoty, padające ofiarą przyrodniczych katastrof. Los ten nie omija również gatunków, ustępujących miejsca innym, lepiej dostosowanym do zmieniających się naturalnych warunków. Ponoć właśnie dzięki temu onegdaj małe ssaki uzyskały na znaczeniu kosztem wielkich gadów odnajdywanych dzisiaj jako kopalne pozostałości zamierzchłych gigantów. Są one badane przez rodzaj ludzki, który zdominował Ziemię, tworząc na niej szereg państwowości, niekoniecznie naznaczonych znamieniem wieczności, choćby z tego powodu, że historia ludzkości, przynajmniej na tym Świecie, zapewne kiedyś też dobiegnie kresu i nie będzie miał kto konserwować istniejących monarchii czy republik, względnie tworzyć nowych. Wynika z tego, że wszystkie istniejące współcześnie państwa *nolens volens* podążają w stronę Wielkiego Zmierzchu, po nastaniu którego nikt, przynajmniej spośród ludzi, nie będzie mógł *sine ira et studio* zbadać zamkniętą już historię państwowości, na którą spoglądamy dzisiaj w trakcie jej dziania się, co z pewnością zaciemnia badawczy horyzont, ale pomimo to można naszkicować kilka uwag na temat upadku państwowości w skromniejszym wymiarze niż ten, jaki w mniej lub bardziej odległej przyszłości osiągnie zapewne tę formę kreatywności ludzkiego rodu, gdy przeminie ona wraz z nim albo i wcześniej, jeśli ludzkość, zgodnie z marksistowskim prorocstwem, odtworzy przedpaństwową wspólnotę pierwotną po ostatecznym wypełnieniu swej roli przez wszelakie organizacje typu państwowego.

Póki co, korzystając z danych, jakie mamy na aktualnym etapie rozwoju, możemy wśród nich wyróżnić te, które się wyróżniają daleko idącą

¹ Dr hab., Uniwersytet Wrocławski.

odpornością na nieustannie działające czynniki rozkładowe różnego rodzaju, w związku z czym ich obserwacja nie dostarczy nam wielu wniosków *à propos* prawidłowości dotyczących znikania państwowej postaci wspólnotowości z areny dziejów, w przeciwieństwie do znajdujących się w tej kategorii bytów podmiotów odznaczających się mniejszą odpornością, co skutkuje ich szybką anihilacją. Pośrednią odmianę natomiast będą stanowiły państwa, które co prawda podlegają rozkładowi, ale następnie wracają z niebytu, aby odtworzyć się w nowej postaci. Do tego trzeciego rodzaju potencjalnie należą w zasadzie wszystkie państwowości z dwóch poprzednio wymienionych zbiorów, gdyż nawet najbardziej długotrwałe trwanie może kiedyś dobiec końca, nieoznaczającego bynajmniej, że trzeba wykluczyć restaurację po okresie „hibernacji”. Wynika z tego, że kres dziejów państwa może być pozorny, gdy okaże się, że był on jedynie początkiem przejściowego stanu nieobecności w zinstytucjonalizowanej społeczności międzynarodowej.

Wynikałoby z tego, że nigdy nie występują dostatecznie mocne przesłanki upoważniające do orzekania, iż nastąpił definitywny *Finis Poloniae* lub jakiegokolwiek innego państwa, co oznacza, że agonia tego rodzaju ma relatywny charakter, skoro okazuje się, że Izrael może oficjalnie odtworzyć starotestamentową tożsamość prawnopolityczną poprzez ustanowienie, po upływie całego szeregu stuleci, bliskowschodniej republiki, będącej w urzędowej narracji kontynuacją dawidowego królestwa. Deklaruje się ciągłość pomimo tego, że odtworzona w innej epoce państwowość pod wieloma względami różni się od starożytnej, nienależącej do parlamentaryzmu czy daleko zaawansowanej pantokracji.

Trudno żeby było inaczej, bo raczej nie jest możliwe dokładne skopiowanie zamierzchłej formy ustrojowej, z czego można by wnioskować, że można uznać ją za odłożoną do lamusa. Wszakże nie można wykluczyć, że ewentualnie wyłoni się ona w co nieco zmodyfikowanej postaci wówczas, gdy w znaczący sposób zmieni się postać świata i dzisiejsze prawnopolityczne dogmaty zostaną uznane za niesłuszne, co otworzy drogę dla sięgnięcia po „stare, sprawdzone wzorce”, dla jakich nie będzie alternatywy, jeśli nie pojawią się zupełnie nowe modele ustrojowe, na co specjalnie się nie zanosi, gdyż wydaje się, że „wszystko już było”. Oznacza to, że innowacyjność w zakresie tworzenia nowych form ustrojowo-państwowych ma i mieć będzie raczej przyczynkowski niż przełomowy charakter, bowiem wszystko wskazuje na to, że minął już czas wielkich prawnopolitycznych narracji, wskutek czego wypada

skonstatować, że zamarła na tym obszarze kreatywność w wielkim stylu, co nakazuje oczekiwać odtwarzania doskonale znanej monarchiczno-arystokratycznej, względnie republikańsko-demokratycznej filozofii władania państwem w mniej lub bardziej hybrydalnych względem przednowoczesnych inkarnacji tego „czteropaku” wersjach, będących układankami takich samych podstawowych elementów, podlegających przemalowaniu, wyrażającemu się w nomenklaturowych przeinaczeniach, nieskutkujących jednakże zaistnieniem jakościowych przemian.

Biorąc to pod uwagę, moglibyśmy dojść do wniosku, że mamy raczej do czynienia z przypominającym hinduistyczną reinkarnację kołowrotem wcieleń niż z judeochrześcijańską wizją konsekwentnego zastępowania jednych bytów przez inne, z których każdy obdarzony jest niepowtarzalną duszą, której nie odnajdziemy na gruncie prawnopaństwowym, jeśli będziemy spoglądać nań przez dogmatycznie ujmowany starożytno-oświeceniowy, nacechowany kosmopolityzmem pryzmat, nakazujący abstrahować od emocjonalnych konotacji państwowości. Wszakże przy spojrzeniu na nią w romantycznym, przepełnionym uczuciowością, ujęciu, kwestia ukaże się nam w odmienny sposób, gdyż dostrzeżemy przywiązanie obywatelsko rozbudzonych mas do traktowanego jako swoje zinstytucjonalizowanego Dobra Wspólnego, postrzeganego jako zmultiplikowana rodzinna zagroda, odziedziczona po praszczurach i przepełniona familijnymi sentymentami, nakazującymi unikać oceniania jej znaczenia na podstawie bieżącej rynkowej wartości. Gdyby kierować się takim czysto ekonomicznym kryterium, to wypadaloby w każdej chwili być gotowym na dokonanie radykalnej *непечнойку*, sprzedaży po korzystnej cenie lub wyburzenia, aby miejsce po „starej ruderze” wykorzystać z zyskiem dla siebie i uwolnionej od „reliktu zatęchłej przeszłości” ludzkości. Jednakowoż ta jej część, jaka jest uczuciowo związana z konkretną Ojcowizną, spogląda na nią przez zupełnie inne okulary, wskutek czego dostrzega w niej przede wszystkim wymykającą się wszelkim zobiektywizowanym szacunkom wartość, co sprawia, że anihilacja tak traktowanego państwa jawi się przywiązanym do niego mieszkańcom jako niepowetowana strata.

Jeśli tworzą oni jego znaczącą część, to mamy do czynienia z państwem narodowym, ogłoszonym w Wersalu na gruzach europejskich imperiów przez Wilsona *et consortes* za jedynie słuszny wzorzec, odpowiadający ludowładczym wymogom, propagowanym oficjalnie przez „zwycięskie zachodnie demokracje”. To propagandowe zwycięstwo

zasady samostanowienia narodów wypada interpretować jako napiętnowanie „złowrogich starych reżimów”, zwalczających niepodległościowe aspiracje emancypujących się ludów. Ich wola została uznana zatem za najistotniejszy czynnik państwowotwórczy, zastępujący „dynastyczny instynkt”, pozwalający w przeszłości Habsburgom, Romanowom czy Hohenzollernom na realizowanie wielkich politycznych projektów, legitymizowanych poprzez ich naznaczoną potężnym stężeniem Błękitnej Krwi tożsamość, niezwykle silnie odciskającą się na budowanych przez nich cesarstwach, pozostających w intymnym związku z panującymi, usilnie starającymi przedstawić się poddanym jako reprezentanci niezniszczalnego, dostojnie unoszącego się nad przemijającymi pokoleniami, przeglądającego się w olśniewającym blasku ich koron i szat Szlachetnego Pierwiastka, sprawiającego, że wierne ludy stawały się lepsze, a odchodzący w zaświaty mieszczanie czy chłopcy mieli nadzieję, że *in saecula saeculorum* ich progenitura będzie żyła pod berłem kolejnych „Najjaśniejszych Panów”.

Taka wizja patriarchalnej wspólnoty została zdruzgotana wskutek „karbonarskich knowań”, rozprzestrzeniających rewolucyjne przesłanie *gli uomi liberi sono fratelli*. W pozbawionym kosmopolitycznej otoczki wydaniu wzywało ono do tworzenia przepelnionych etnicznym braterstwem demokratycznych republik. Urzeczywistnianie tej wizji, zanim doprowadziło do rozkładu carskiej Rosji i rozpadu Austro-Węgier, skutkowało likwidacją rozlicznych włoskich i niemieckich państwowości, niejednokrotnie mających wielowiekowe tradycje, ustępujące miejsca zwycięskim nacjonalizmom, bezwzględnie rozpychającym się w poszukiwaniu „miejsca pod Słońcem”.

Widzimy więc, że każda państwowotwórcza idea, niezależnie od jej doktrynalnego zabarwienia, jest wcielana w życie, za wyjątkiem sytuacji polegającej na działaniu w zupełnie dziewiczych, pozbawionych politycznie zorganizowanych wspólnot ludzkich krajach, poprzez uśmiercanie tych małych monarchii czy republik, jakie nieopatrznie znalazły się na jej drodze lub rozrywanie wchodzących w smugę cienia imperiów. Oznacza to, że aktualna polityczna mapa świata jest zasłona, skrywająca cmentarzysko dawnych państwowości. Pamięć o nich mogła już dawno ulec zatarciu lub ciągle być kultywowana, jak to miało miejsce w gettach, gdzie nieustannie wspomniano starotestamentowe dole i niedole żydowskich przywódców oraz organizmy polityczne, na czele których stali. Wskutek tych narracji biblijne państwo trwało w świadomości,

w przeciwieństwie do tych, które po upadku „czas zatarł i niepamięć”, a zatem dotknęła je podwójna śmierć, nie tylko w prawnopolitycznym wymiarze, ale również w kulturowym, jako że ich nazwy nie wzbudzają specjalnych emocji, prawie nikt o nich nie myśli i nawet specjalistom nie bardzo chce się zajmować „zasypanymi kurzem dziejów politycznymi truchłami”, deptanymi przez pochłoniętych bieżącymi problemami mieszkańców nowych państw, jakie najpewniej prędzej czy później spotka los wcześniej dotkniętych anihilacją poprzedników.

Pamiętając o tym, że zdiagnozowanie końca jakiejś państwowości nie musi być jednoznaczne z niepodważalną w dłuższym wymiarze czasowym konstatacją, wypada zastanowić się nad tym, czy w każdym przypadku takie stwierdzenie jest zupełnie słuszne w chwili jego wygłoszenia. Byłoby dziwne, gdybyśmy zawsze mieli do czynienia z zupełnie klarowną sytuacją, niewzbudzającą niczyich wątpliwości. Będą one niejednokrotnie pojawiać się wówczas, gdy nie ograniczymy się do wysłuchiwania jednej narracji, zakładając, że przeważnie ma ona jednostronny charakter i nie odzwierciedla całego skomplikowania prawnopolitycznej materii. Zauważymy je np. wówczas, gdy porównamy oficjalne stanowisko władz Chińskiej Republiki Ludowej odnośnie Tybetu z wypowiedziami prominentnych przedstawicieli jego mieszkańców, którzy przebywają w Indiach i począwszy od 1949 r. konsekwentnie protestują przeciwko zajęciu Dachy Świata przez pekińskich komunistów, dochowując wierności Dalaj-Lamie, uważanemu przez tybetańskich buddystów za polityczno-religijnego przywódcę ich narodu i państwa. Jest on przyjmowany przez wielu prominentnych polityków, wspierających go w ten sposób w dziele przypominania globalnej opinii publicznej, że *noch ist Tibet nicht verloren*.

Dostrzegamy więc niejednoznaczność, polegającą na tym, że pomimo zajęcia terytorium państwa przez siły zbrojne silniejszego sąsiada, co umożliwiło jego aparatowi władania rozpoczęcie i sprawowanie administrowania na ziemiach państwowości traktowanej przez ekspansywny reżim jako niebyłą, kontynuuje ona swoją egzystencję poprzez działania ośrodka politycznego, jaki nie uznaje *fait accompli* i domaga się przywrócenia *status quo ante*. Trudno nie uznać co prawda, że emigracyjny rząd nie sprawuje realnego władztwa nad zajętą przez Kraj Środka ojczyzną, tym niemniej konstytuuje on pewną ułomną, pozbawioną tak istotnych elementów jak terytorium i zamieszkała na nim ludność, państwowość, mającą pomimo tych istotnych braków swoje jądro

w postaci władzy, cierpliwie czekającej na szansę powrotu do Lhasy. Oznacza to, że chiński komunikat o śmierci tybetańskiego państwa nie do końca odpowiada rzeczywistości, bowiem uosobienie jego teokratycznego przywództwa nie zaprzestaje samodzielnej politycznej aktywności, wyrażającej się m.in. w zorganizowaniu wyborów, które niedawno wyłoniły pierwszego w historii Tybetu prezydenta, co wypada interpretować jako „wyjście naprzeciw demokratycznym standartom, konsekwentnie naruszonym pod chińską okupacją”. Oznacza to, że według dominującej dzisiaj narracji funkcjonująca w co nieco widmowej postaci emigracyjna wersja tybetańskiej państwowości zademonstrowała moralną wyższość nad pekińskim reżimem, utwierdzając swe moralne prawo do restytucji niezależnego od Chińczyków władania nad rozległą podniebną wyżyną na północ od Himalajów, będącą terytorialnym substratem związanego z nią wielowiekową historią państwa, o którym w tej chwili można powiedzieć, że pomimo tego, iż zostało w bardzo poważny sposób zakwestionowane, co może się przyczynić do ewentualnego obumarcia w przyszłości, to jednakowoż póki co rozgłaszanie definitywnego zakończenia jego dotychczasowej historii jawi się jako zdecydowanie przedwczesne.

Powyższy przykład demonstruje regułę, polegającą na tym, że przesłanką konstatacji trwania państwowości pomimo utraty przez związaną genetycznie z nią władzą materialnego panowania jest zamieszkiwanie na terytorium niegdyś przez nią administrowanym zachowującej o tym pamięć ludności, odczuwającej swoją odrębność od innych etnicznych skupisk, co uprawnia do uznania jej za naród w kulturowym rozumieniu tego pojęcia. Może on w każdej chwili uzyskać polityczną rangę, jeśli wskutek zmiany koniunktury emigracyjny rząd otrzyma szansę powrotu. Jej zrealizowanie będzie interpretowane przez powracającą z wygnania władzę jako *restitutio in integrum*, czyli przywrócenie pożądanego stanu istnienia państwa w jego pełnej postaci, która okazała się być jedynie częściowo obumarłą, czy może raczej osłabioną podczas szczęśliwie zakończonej smuty.

W optymalnej, najprostszej wersji dobiega ona końca wraz z pojawieniem się na zamieszkaną przez rodaków ziemi podmiotu tożsamego z tym, jaki przestał sprawować władzę w ojczyźnie lub takiego, jaki jest jego legitymizowanym kontynuatorem, dziedziczącym poprzez krew lub w inny sposób prawo do zinstytucjonalizowanego władania. Pierwszy przypadek reprezentuje Edward Benesz, odzyskujący po kilkuletniej, wypełnionej II Wojną Światową, przerwie swój prezydencki gabinet

na praskich Hradczanach, bowiem zwycięstwo Wielkiej Koalicji rozstrzygnęło negatywnie o losie tymczasowej, jak się okazało, niesuwerennej państwowości, jaką był Protektorat Czech i Moraw, który ustąpił miejsca powracającej na swoje terytorium Czechosłowacji.

Zanim jeszcze rozciągnęła się ona na Słowację, jeden z urzędujących na nadweltańskim Zamku poprzedników Benesza, a mianowicie książę Brzetysław najechał w XI w. Polskę, co doprowadziło do wielkiego zamętu i upadku centralnej władzy, odbudowanej przez reprezentanta konstruującej ją w ponadpokoleniowym trudzie piastowskiej dynastii, jakim był Kazimierz Odnowiciel, obrazujący niebezpośredni, dokonany przez inną osobę niż ta, która straciła realne panowanie nad państwem, sposób odtworzenia jego przedkryzysowego kształtu, odzyskiwanego wskutek przywrócenia instytucjonalnych relacji między reemigrującą władzą a „uciskanym przez tyrańską samowolę i stęsknionym za nią wiernym ludem”.

Widzimy więc, że póki przebywa on na zasiedlonym przez praojców obszarze, stanowi żywą podstawę dla restytuowania państwowości w jej pełnym kształcie. Zdarza się, że mamy z nią do czynienia także wówczas, gdy nie ma ciągłości między niegdysiejszą władzą a tymi, którym przypadł w udziale los odtwarzania w stołecznym mieście rodzimej władczości. Odtwarza się ona, jak pokazują choćby polskie dzieje, wówczas, gdy pojawiają się, jak podczas I Wojny Światowej, sprzyjające okoliczności, generujące autorytety, jakie obejmują najważniejsze stanowiska w tworzonym na nowo aparacie władzy publicznej. Składa się on z ludzi, którzy, podobnie jak pozostali rodacy, legitymizują rządzących poprzez swoją aprobatę, zachęcającą z pewnością zagranicznych przywódców do zaakceptowania odradzającego się państwa.

W polskim przypadku podobno konsekwentnie było ono uznawane przez Ottomańską Portę i Persję także wtedy, gdy zostało rozebrane przez ościenne potencje. Oznaczałoby to, że nie mieliśmy do czynienia z pełnym zaaprobowaniem przez zinstytucjonalizowaną społeczność międzynarodową faktu anihilacji Rzeczypospolitej na drodze rozbiorów i późniejszej degradacji Królestwa Polskiego do rangi zwykłej prowincji Imperium Romanowów. Nad Bosforem i na Wyżynie Irańskiej wciąż oczekiwano na posłów z Lechistanu, którzy w końcu przybyli do Carogrodu i Teheranu, reprezentując ustrojowo odmienioną Polskę. Wiara orientalnych przywódców w przewyciężenie przez nią przejściowych trudności okazała się prorocza, potwierdzając przekonanie

co do potrzeby wstrzymywania się z wyrokowaniem ostatecznego końca jakiegokolwiek bytu państwowego, mogącego ponownie zjawić się niczym *deus ex machina* pomimo tego, że złowrodzy moiżni świata tego nie omieszkali już dawno pogrzebać go na amen.

Udowodnienie mylności takiego przekonania jawi się jako trudniejsze wówczas, gdy nie tylko na ojczystej ziemi nie ma zanurzonej w emigranckiej melancholii lub w ogóle nieistniejącej własnej władzy, ale na dodatek również lud wyemigrował, ustępując miejsca obcojęzycznym przybyszom. Hebrajski przypadek nakazuje jednak uznać, że nawet to nie stanowi przeszkody nie do pokonania, jeśli istnieje wola polityczna, nakierowana na zrealizowanie planu powrotu do zamieszkałych niegdyś przez przodków miast i wiosek, aby następnie zorganizować repatriantów w strukturę o charakterze państwowym, nazwaną na cześć starotestamentowego patriarchy Izraelem. Trwał on w genach i modlitwach jego biologicznego, względnie duchowego potomstwa, zachowującego pamięć o eponimie i pozdrawiającego się rytualnie pod sklepieniami bóżnic zrytualizowanym zwrotem: „W przyszłym roku spotkamy się w Jerozolimie”. Życzenie to wyrażało zbiorową tożsamość Narodu Wybranego, stanowiącego emocjonalną całość pomimo rozproszenia. Nie było ono jednak zupełne, gdyż istniały konfesyjne gminy, umożliwiające żydowskim wspólnotom kultywowanie zbiorowej pamięci, ogarniającej państwowotwórcze wyczyny patriarchów, sędziów i królów. Owa zapisana w Biblii narracja stanowiła natchnienie dla nowożytnych syjonistycznych teoretyków, przetwarzających ją w ideologiczną hagdę, uzasadniającą konieczność ponownego zajęcia Ziemi Obiecanej przez „niezlomny szczep dawidowy”, co też się stało, pokazując wszem i wobec, że obrabowany kiedyś z odrębnego politycznego bytowania, lecz utrzymujący swą odrębność „naród bez ziemi” stanowi podmiot, w jakim uparcie *in potentia* przebywa państwo, wciąż żywe w zmitologizowanych opowieściach o wielkich czynach dawnych władców, będących natchnieniem dla ewentualnych wskrzesicieli zinstytucjonalizowanej państwowości, której władcy nie omieszkają przedstawiać ją jako oficjalną kontynuację poprzedniej wersji, będącej inkarnacją niezmiennego w swej istocie państwowotwórczego zamysłu, mogącego podlegać uspiewaniu, ale tylko po to, żeby ze wzmożoną siłą dać znać o sobie.

Okazuje się zatem, że póki trwa wspólnotowa pamięć o utraconej państwowości, to może być ona wystarczającą przesłanką do jej odzyskania nawet wtedy, gdy nie funkcjonuje emigracyjny rząd, a rodzime

terytorium jest zamieszkiwane przez inne ludy, których wykształceni przedstawiciele mogą przekonywać, że mają większe prawo do spornego obszaru, gdyż ich przodkowie zasiedlali go być może przed wszystkimi innymi, a przynajmniej przed tymi, którzy chcą przywrócić swoją państwowo potwierdzoną obecność na niegdyś opuszczonej ziemi. Tak miało być w przypadku Palestyńczyków, doszukujących się genetycznych więzów z biblijnymi Filistynami. Jeśli staniemy na gruncie tego poglądu, to uzyskamy mocny dowód na rzecz prawdziwości przekonania o możliwości nawiązania do każdego przekazu o onegdajszym zorganizowanym politycznie bytowaniu jakiegoś etnosu, przysypanym następnie co prawda wiekami nieobecności na arenie dziejów, ale czekającym niespiesznie na to, aby zostać przypomnianym, gdy nadejdzie właściwy czas. Pamięć o domniemaniu rdzennych Palestyńczykach utrzymywała się przez wieki dzięki Staremu Testamentowi, na którego kartach występują oni raczej w roli sprzeciwiających się działaniom Narodu Wybranego czarnych charakterów, no ale przecież „lepiej, żeby źle pisali o nas niż wcale”. Jeśli spojrzeć na biblijne teksty nie jako na natchnione, otoczone aurą nadzwyczajności przekazy, wówczas łatwo w nich dostrzec dyskryminujące wszystkich tych, którzy przeciwstawiają się żydowskiej ekspansji przesłanie, nacechowane krzywdzącym subiektywizmem, sprawiającym, że przedstawia się w niewłaściwym świetle „bohaterską obronę prastarych ojcowizn”. W tym wypadku liczba mnoga jest wskazana, ponieważ według biblijnych i innych źródeł Filistyni nie stworzyli jednej organizacji politycznej, natomiast istniało szereg niezależnych od siebie miast-państw. Doczekały się one unifikacji w XX stuleciu, gdy „syjonistyczna przygoda” spowodowała reakcję w postaci uświadomienia sobie przez nieżydowskich mieszkańców Ziemi Świętej własnej specyfiki, *ergo* odrębności od reszty świata arabskiego. Doszło więc do odtworzenia biblijnego schematu izraelsko-filistyńskiej rywalizacji. Jej starotestamentowy opis zgalwanizował poczynania ideowych potomków obu stron konfliktu, przekształconych w odpowiadające wymogom nowożytnego nacjonalizmu podmioty, będące zmodernizowanymi odpowiednikami swoich archaicznych prototypów. W palestyńskim przypadku miał on rozproszoną postać, w związku z czym można uznać, że każde konstytuujące kananejskie *Pentapolis* starożytne państewko stanowi zarodek, jaki przejściowo obumarł po to, aby współtworzyć nowoczesną syntezę, którą jest Autonomia

Palestyńska, będąca na najlepszej drodze do uzyskania statusu „bezspornie uznawanego przez społeczność międzynarodową państwa”.

Posiada już ono wszystkie trzy elementy jellinowskiej triady, złożonej z władzy, ludności i terytorium, traktowanych jako podstawowe wyznaczniki typowej, pełnej państwowości. Spośród nich terytorium wydaje się być czymś najbardziej trwałym, istniejącym niezależnie od politycznych zawirowań, mogących skutkować upadkiem państwowości i exodusem jego ludności. Może ona zabrać z sobą trochę ziemi na pamiątkę, ale nie spowoduje to znaczącego uszczerbku dla porzucanego przez nią obszaru, z czego wynika, że terytorium jest zazwyczaj najbardziej naturalnym państwowotwórczym czynnikiem, stanowiącym fizycznogeograficzną podstawę, na której ludzie stawiają swoje polityczne konstrukcje. Mogą oni dokonywać w niej przekształcających krajobraz zmian, przyczyniających się czasem do upadku przesadnie cywilizowanych, za bardzo oddalonych od natury struktur, tym niemniej zasadnicza tożsamość Matki-Ziemi, używającej niespokojnemu rodzajowi ludzkiemu swej powierzchni dla społeczno-politycznych eksperymentów, pozostaje niezmienna. Taka jest ogólna reguła, natomiast zdarza się czasem jednak, że terytorium rośnie wraz z państwowością, czego najbardziej znanym przykładem jest Holandia, która wydarła morzu sporą część swojego dzisiejszego obszaru, stworzonego zatem w dużej mierze przez ludzi, permanentnie chroniących swe poldery przed zalaniem, jakie nastąpiłoby, gdyby ustała zorganizowana działalność mieszkających na „niskich ziemiach” mężczyzn i kobiet, z niepokojem wysłuchujących wieszczących wzrost globalnego poziomu wody w morzach i oceanach prognoz. Gdyby doszło do ich spełnienia, wówczas być może Królestwo Niderlandów zostałyby pozbawione tych terenów, które ponownie znalazłyby się pod wodą. Stanowi ona jeszcze większe zagrożenie dla egzotycznych państw, takich jak Malediwy czy Nauru, które położone są na niewiele wystających ponad poziom morza koralowych atolach. W ich przypadku perspektywa względnie trwałego znalezienia się pod wodą całego terytorium jest bliższa realizacji. Jej spełnienie uczyniłoby z nich jakieś nowożytnie inkarnacje Atlantydy, pozbawione suchego gruntu pod stopami ludności wskutek mniej lub bardziej gwałtownych katastrof, stawiających pod dużym znakiem zapytania możliwość dalszego trwania zorganizowanego życia społeczno-politycznego na nawiedzonych przez nie obszarach, jakie domniemanie pogrążą się w morskich odmętach.

Urzeczywistnienie takiego scenariusza stałoby się dużym wyzwaniem dla przywódców tonących państw, pozbawionych najbardziej namacalnego i trwałego wymiaru swej egzystencji, ale niekoniecznie musiałyby doprowadzić do zupełnego ich rozpadu. Władze mogłyby się wraz z ludnością przenieść na stały ląd i przekształcić w ośrodki polityczne, będące odpowiednikami znanych z politycznych dziejów ludzkości rządów na wygnaniu, z tym, że w tym wypadku prześladowczym podmiotem nie byłyby inne państwa, lecz natura. Istnieje jednakże inny wariant, który stanowiłby powtórzenie wydarzenia, jakie miało zapoczątkować powstanie Wenecji. Mianowicie zagrożona przez najazdy barbarzyńców ludność znad wybrzeży północnego Adriatyku przeniosła się na wodę, zamieszkując w postawionych na palach domostwach, których skupisko stało się załóżkiem *Serenissimy*. Manewr ten mógłby zostać dość łatwo powtórzony w przypadku przemiany malediwskich czy innych wysp w płycizny, zachęcające do wykorzystania ich jako podwodnego oparcia dla budowlanych konstrukcji. Nawet jednak większe głębokości nie muszą być przeszkodą nie do pokonania, gdyż powstają już przecież platformy wiertnicze na akwenach, gdzie dno znajduje się dobrych kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią wody. Dochodzi już zresztą do przypadków proklamowania niepodległości przez właścicieli tego rodzaju obiektów, traktujących je jako zmodernizowaną wersję tradycyjnie rozumianego terytorium.

Wynika z tego, że utrata położonego na kontynencie względnie wyspie lub wyspach suchego lądu nie musi pociągać za sobą destrukcji państwowości, gdyż może ona podjąć wysiłki skierowane w stronę wykreowania sztucznego terytorium lub też skoncentrować się na organizacyjnych przedsięwzięciach, demonstrujących prężność podmiotu, jaki nie poddaje się losowi pomimo doświadczenia traumy w postaci konieczności opuszczenia obejmowanych niegdyś władaniem organizacji terenów, a zatem kontynuuje swoją działalność, uznawaną za permanentnie potrzebną niezależnie od fluktuujących warunków. W taki scenariusz doskonale wpisują się joannici, ponieważ Zakon Świętego Jana zachowuje swoją podmiotowość, powiązaną onegdaj z terytorialnością niezależnie od tego, czy na aktualnym etapie rozwoju współkonstytuuje ona jego tożsamość, czy niekoniecznie.

Najpierw owa monastyczna struktura pojawiła się w Ziemi Świętej jako jeden z rycerskich zakonów. Później przeniósł się on na Rodos, gdzie doszło do ukonstytuowania się klasycznie trójelementowej

państwowości, która uległa osmańskiej nawale, skutkującej koniecznością przeprowadzenia się na Maltę, aby odtworzyć tam rodyjski wzorzec w postaci insularnej teokracji. W swojej ewidentnie chthonicznej postaci doczekał się on likwidacji wówczas, gdy położona w centrum Śródziemnomorza wyspa została zajęta przez angielskich wyspiarzy, co zmusiło rycerzy św. Jana do opuszczenia podległego im obszaru. Owa emigracja nie spowodowała jednak anihilacji Zakonu, istniejącego do dzisiaj i utrzymującego dyplomatyczne stosunki z wieloma podmiotami prawa narodów, w tym również z Polską, traktującą go, podobnie jak szereg innych państw, jako równorzędny byt, umieszczany w tej samej kategorii pomimo tego, że zasadniczo został wyzuty z terytorialności. Co prawda w szczątkowej postaci przetrwała ona w rzymskiej siedzibie Zakonu i nielicznych innych posiadłościach, ale generalnie joannici działają poza tym niewielkim *residuum*, w niewielkim stopniu determinującym tożsamość ich wspólnoty. Utrzymuje się ona, również w prawnopolitycznym wymiarze, pomimo utraty niegdysiejszej terytorialnej podstawy, którą wypada uznać w takim stanie rzeczy za niekonieczny składnik nowożytnej państwowości.

Przedstawione przykłady pokazują, że mogą istnieć niepełne postacie państwa, pozbawione niektórych elementów klasycznej państwowości, co wypada interpretować jako częściowe obumarcie. Pomimo to jednak podmioty te uparcie trwają w ułomnej formie lub odtwarzają się w niej względnie w bardziej całościowym kształcie po okresie niebytu, który trudno uznać za absolutny, skoro okazuje się być jedynie tymczasowym. Znaczenie występowania takich sytuacji może być jednak umniejszane wskutek uznawania je za szczególne, marginalne wypadki, uwydatniające standartowość zdecydowanej większości „normalnych państw”, spełniających europejskie i globalne kryteria.

Jednakże, jak się przyjrzymy współczesnej rzeczywistości prawnopolitycznej, to zauważymy, że państwowość w wielu miejscach świata podlega przekształceniom, sprawiającym, że pomału zdaje się odchodzić w przeszłość taka jej postać, jaka jeszcze niedawno uchodziła np. w Polsce za ostateczną, stanowiącą ukoronowanie długiego rozwoju, polegającego na przechodzeniu od jednych form „najpoważniejszej organizacji politycznej rodu ludzkiego” do innych. Ewolucja ta doprowadziła do powstania suwerennego państwa narodowego, stanowiącego podstawę Systemu Wersalskiego, syntetyzującego wewnętrzne ludowładztwo z panowaniem w kontynentalnym, a z czasem globalnym

wymiarze, unarodowionych mas, wyzwolonych ostatecznie z imperialnego ucisku, który został przewyciężony dzięki walce uświadomionego plebsu. Dojrzał on do tego, aby stać się zbiorowym podmiotem władzy suwerennej, organizującym się w reprezentujące jego interesy, przesycone Sprawiedliwością, Wolnością i Równością państwo, będące najdoskonalszym, głęboko przesiąkniętym heglowskim Duchem Historii, konstruktem w politycznych dziejach ludzkości.

W naszych czasach daje się zauważyć rosnące negowanie tego paradygmatu, rozplywającego się w wielości ponadnarodowych struktur, relatywizujących znaczenie państwowości, pozbywających się swoich postmediewalnych cech wskutek ponowoczesnych przemian, zdających się zmierzać w kierunku dialektycznego odtwarzania przeszłości w dostosowanych do wymogów aktualności formach. Powstają one w procesie eurointegracji, prowadzącym do tworzenia ponadpaństwowych struktur, których istnienie nie sprawia jednak, że możemy z pełnym przekonaniem twierdzić, iż nadchodzi czas wyrazistego Europaństwa, jednoznacznie pochłaniającego konstytuujące UE polityczne twory.

Zachowują one wciąż ograniczoną samodzielność, ale z drugiej strony muszą respektować brukselskie wymogi. Odnoszą się one niejednokrotnie do niezwykle szczegółowych zagadnień, wzbudzających szczególne zainteresowanie wspólnotowych biurokratów. Muszą oni jednak z kolei brać pod uwagę interesy państw członkowskich, zwłaszcza rzecz jasna najważniejszych spośród nich. Dominują one nad „mniejszymi braćmi”, ale nie prowadzi to do ich aneksji, zastępowanej zacieśnianiem stosunków, mających charakter przypominający średniowieczne relacje między suzerenem a wasalem. Na dodatek lansuje się regionalizm, ożywiający przednowoczesne tożsamości, które zostały stłamszone przez ekspandujące państwa narodowe, dzisiaj stające w obliczu nacisków idących zarówno z unijnej centrali, jak i z wnętrza tracących z trudem wykutą spójność własnych państwowości.

Jeśli uznamy zatem, że jej jakobiński model, odznaczający się zuniformizowaną w niezwykle poważnym zakresie tożsamością, będącą *le dernier cri* oświeconej nowoczesności, stanowi szczytowe państwowotwórcze osiągnięcie, to wypada uznać, że odchodzenie od niego oznacza schyłek, wejście w strefę cienia, zapełnioną zgalwanizowanymi relikdami „ciemnej i ponurej przeszłości”, jaka na nowo wychynęła po utracie przez Europejczyków wiary w siebie. Kryzys ów znajduje w sferze prawnopolitycznej wyraz w narastaniu deficytu zaufania do tracącej

wyrazistość państwowości, której porewolucyjna postać ewidentnie gąśnie, podmywana przez ekspansję struktur, których istoty nie można ująć w nieskomplikowanych definicjach. Mają one zarówno międzynarodowy, jak i wewnątrzpaństwowy zasięg, a ich tożsamość bywa zakorzeniona w gospodarce, kulturze względnie religii, co sprawia, że ich napór ma wieloaspektowy charakter, co niezwykle utrudnia skuteczną obronę przed zróżnicowanymi zagrożeniami.

Szczególnie są one widoczne tam, gdzie niegdyś znajdowały się europejskie kolonie. Po uzyskaniu przez nie niepodległości daje się zauważyć, zwłaszcza w Afryce, że niejednokrotnie dochodzi w nich do regresu, polegającego na obniżeniu jakości usług świadczonych przez publiczne władze, nie bardzo będące w stanie utrzymać pozostawioną przez Europejczyków infrastrukturę. Trudno się temu dziwić, skoro większość fachowców opuściła emancypujące się kraje, czując się zagrożonymi wskutek wzrostu temperatury międzyplemiennych konfliktów, ongiś dość sprawnie tłumionych przez kolonialistów, perfidnie posługujących się starą maksymą *divide et impera*. Po wybiciu się na niepodległość przyszedł czas na wyrównanie rachunków między skłóconymi wspólnotami. Są one traktowane niezwykle poważnie na terenach położonych wewnątrz granic sztucznie wyznaczonych przez rywalizujące z sobą zamorskie potencje. Poczucie ogólnopaństwowej jedności jest w nich słabo rozwinięte, zdecydowanie pozostając w cieniu trybalizmu, przekształcającego rzeczywistość społeczno-polityczną w permanentną międzyplemienną rywalizację, z łatwością przekształcającą wybory w zbrojny konflikt, stanowiący wszak sprawdzony sposób dochodzenia swych racji. Z ochotą uciekają się do niego ludzie, którzy nie ufają instytucjom sformalizowanej władzy. Nie mają one przecież miejscowego rodowodu, będąc „brzemieniem białego człowieka”, traktowanym przez krajowców jako uwierający kaftan bezpieczeństwa, przeszkadzający im żyć tak, jak czynili to przodkowie, zanim nie przybyły „zamorskie diabły” ze swoimi wynalazkami, wśród których znalazła się także europejska koncepcja państwa. Skutek jej propagowania na Czarnym Lądzie jest taki, że wiele byłych kolonii wypada uznać za „teoretyczne państwowości”, rozrywane przez odśrodkowe tendencje, odzwierciedlające pragnienia aktywnych Afrykańczyków. Z lubością zanurzają się oni w rzeczywistości, postrzeganej z europejskiej perspektywy jako „jądro ciemności”, multiplikujące się w wielu miejscach, położonych na południe od Morza Śródziemnego, takich jak Somalia lub Libia.

Wydaje się, że dochodzą tam do głosu tożsamości, które zostały stłumione podczas europejskiego panowania, ale nie udało się ich wyeliminować w imię europocentrycznego narzucania obcych wzorców ustrojowych, traktowanych jako bezalternatywne przez zadufanych imperialistów, wierzących w atrakcyjność swoich propozycji, mających uszczęśliwić podbijane ludy. Warunkiem sukcesu tego przedsięwzięcia była zmiana paradygmatu cywilizacyjnego, wyrażająca się w bezwarunkowym uznaniu przez kolorowe ludy słuszności wyrzeczenia się własnej tożsamości, złożonej na ołtarzu Powszechnego Progresu, bezkompromisowo niwelującego „reakcyjne zaszłości”, przeszkadzające w globalnym krzewieniu takiej wersji państwowości, jaka stała się kanoniczną na „bogatej Północy”.

Jej przeszczep udał się w niewielkim stopniu, ale za to kolonizacja niewątpliwie zmniejszyła dystans między niegdyś ekspansywnymi państwami a opanowanymi przez nie obszarami, co sprawiło, że ludność z kolonii zaczęła masowo napływać do niegdysiejszych metropolii, przenosząc do nich swój sposób życia. Owa masowa migracja doprowadziła do powstania na obrzeżach europejskich aglomeracji rozrastających się społeczności, tworzonych przez zamorskich przybyszów, niechętnie akceptujących społeczno-polityczne wzorce znajdujących się w ideologicznej defensywie tubylców, intensywnie przeprasających za spowodowane przez Kolumba i jego następców „niepowetowane krzywdy”. Mszczący się za nie „potomkowie niegodnego Chama” uzyskują w kształtowanych przez polityczną poprawność ideologicznych ramach pozycję równą pograżonym w samodestrukcji potomkom konkwistadorów, uznających w ramach globalnej egalitaryzacji wartość figury Kalibana, co sprawia, że kojarzone z nim postacie wspólnotowości nie są poddawane ostrej krytyce, gdyż zostałyby ona napiętnowana jako rasistowska.

W takim stanie rzeczy prekolumbjskie formy zbiorowego bytowania oprócz tego, że przeżywają ponowny rozkwit na zdekolonizowanych obszarach, to na dodatek rozkrzewiają się tam, skąd onegdaj wyruszały zaoceaniczne podboje. Ludzie z Trzeciego Świata dokonują spontanicznej rekonkwisty, pokazującej, że zguba ich plemiennych organizmów politycznych była pozorna czy też względna, bowiem rekonstruuje się one w postaci podmiotów implantowanych w obumierające struktury europejskich monarchii względnie republik.

Coraz bardziej przypominają one starożytne *Imperium Romanum*, znikające pod naporem dynamicznych barbarzyńców. Ich poczynania jawiły się zmęczonym cywilizacyjnym przesystemem dekadentom jako wybitnie antypaństwowe poczynania, nieuchronnie prowadzące do Zmierzchu Zachodu, skutkującego nastaniem nieokiełznanej anarchii. Jednak historia pokazała, że nastąpiły nowe, średniowieczne porządki, ustanawiane przez cisalpejskich władców, którzy wraz ze swymi wojownikami opanowali zachodnią Eurazję. Przekształcili oni jej prawnopaństwowe oblicze, sprawiając, że pomimo poważnego kryzysu, spowodowanego rozpadem dotychczas dominującego Mocarstwa, ludzkość w dalszym ciągu żyła w obrębie zorganizowanych wspólnot, przy czym liczne spośród nich z czasem weszły w skład odnowionego Cesarstwa, co zazwyczaj nie łączyło się z utratą przez nie państwowego charakteru, niejednokrotnie zachowanego do dzisiaj, kiedy to ponownie bezpośrednio lub pośrednio współstanowią kolejną wersję okcydentalnej integracji.

Jej zinstytucjonalizowany płód zdaje się być pod wieloma względami poronionym już na starcie przedsięwzięciem obciążonym ideologicznym mizmaszem oraz biurokratycznym obciążeniem godnym schyłkowego etapu rozwoju, na jaki przypuszczalnie wkroczyła „euroatlantycka cywilizacja”, z uporem godnym szlachetniejszej sprawy zwalczająca swoje tradycyjne walory. Jeśli diagnoza ta jest trafna, to wypada przewidywać, że UE czeka los, przypominający występujący wśród niektórych gatunków fauny, takich jak np. meksykański aksolotl, paradygmat zatrzymanego rozwoju, sprawiający, że organizm nie wychodzi z larwalnego stadium. Do opuszczenia go potrzebna jest wynikająca z wiary w siebie siła, która nie pojawi się w ponowoczesnym klimacie wszechogarniającego relatywizmu. Nie ma w nim miejsca na charyzmatyczny heroizm, niezbędny do tego, aby rozbudzać państwowotwórcze instynkty, nakazujące przedkładać dążenie do imperialnej sławy ponad doraźny konsumpcjonizm. *De facto* jest on wiodącą pseudoreligią Europrojektu, znaczącego swoją przestrzeń już nie katedrami, lecz zastępującymi je w roli symbolicznych dominant megamarketami.

W ich cieniu dochodzi do rozkładu państw narodowych, zastępowanych przez polimorficzne struktury, niemogące pomimo najbardziej nawet usilnych starań uciec od państwowego pierwiastka, obecnego w każdej organizacji społeczno-politycznej, a więc również takiej, jaka współtworzy wybitnie upolitycznionego europejskiego Molocha, będącego konglomeratem „ułamnych, zamierających ponowoczesnych

państwowości”. Obok nich pęcznią zarodki alternatywnej przyszłości kulturowo-politycznej, potwierdzającej zapewne słusność starych prawd, wśród których trzeba umieścić regułę względnego umiarkowania państwowości oraz zbliżonych do niej charakterem podmiotów. Na ich miejsce pojawiają się nowe lub są one pochłaniane przez konkurencyjne byty, mogące, jak w przypadku Kraju Środka, przywołać na myśl wiecznotrwanie. W każdym razie nie zanoszą się na spełnienie leninowskiej wizji obumierania państwowości, gdyż dywersyfikujące ludzki ród klasowe i inne sprzeczności nie mają zamiaru zanikać, co sprawia, że państwo wciąż jeszcze wydaje się mieć przed sobą długotrwałą przyszłość, niezbędną do tego, aby „antagonistyczne grupy społeczne nie pożarły się nawzajem”. Marzenie o warunkowanym przez likwidację własności prywatnej generalnym ulepszeniu ludzkości wciąż nie ma zamiaru się spełnić, co sprawia, że w dalszym ciągu będą umierać poszczególne państwowości, ale jako powszechny fenomen pozostanie ona wiernym towarzyszem ludzkości. Gdy ludzki ród wkroczy w okres „przemijania Ziemi i wypełniania się Czasu”, wówczas objawi się w pełnej krasie *Civitas Dei*, zaprzeczając swym doskonale niebiańskim kształtem społecznego bytowania wszelkim pogłoskom o kryzysie państwowości, która po Końcu Historii uwolni się w chrześcijańskim scenariuszu od nieuchronnych „na tym łez padole” ułomności. Inaczej rzecz ujmując, wszystkie państwa, niezależnie od dywersyfikujących je ustrojowych odmienności, ostatecznie zakończą swoją egzystencję, aby ustąpić miejsca Królestwu Niebieskiemu, mającemu trwać *per saecula saeculorum*. Przesłanie to niekoniecznie jest zgodne z wizjami przedstawianymi przez inne konfesje, ale nawet przyjęcie ateistycznej perspektywy nie musi prowadzić do jednoznacznego skonstatowania nieuchronności definitywnego rozstania się w przyszłości z fenomenem państwowości. Nietrudno przecież wyobrazić sobie, że będzie on unosić się w kosmicznych przestrzeniach jako klasyczna platońska idea, wiecznotrwale obecna we Wszechświecie niezależnie od tego, czy ma ją kto podziwiać i ewentualnie materializować. Koncepcja ta może się podobać lub przygnębiać, przy czym ci, w których wzbudza ona odruchową niechęć, nie bardzo są w stanie dokonać jej destrukcji, gdyż nawet najbardziej nienawidzący etatyizmu anarchista nie znajdzie sposobu, aby udowodnić jej niesłusność, *ergo* nie jest możliwe uśmiercenie państwa rozumianego jako idea.

Streszczenie

Przemijanie jest dość rozpowszechnionym fenomenem, typowym dla żywych organizmów, do których sensu largo należą najrozmaitsze konstytuowane przez ludzi organizacje, w tym także państwa. Polityczna historia ludzkości potwierdza to przekonanie, ponieważ odnajdziemy w niej mnóstwo dzisiaj już nieistniejących państwowości. Z drugiej strony jednak napotkamy nie tylko chiński przykład długowiecznego państwa, ale również izraelski casus, pokazujący, że może dojść do wskrzeszenia obumarłego przed szeregiem stuleci bytu państwowego, jeśli pojawi się wola polityczna i zaistnieją warunki umożliwiające jej realizację. Pomimo sukcesu tego przedsięwzięcia generalnie obserwujemy uwiad, przynajmniej w Europie, państw opartych na zasadzie narodowej, ale nie musi to bynajmniej oznaczać, że będziemy mieć do czynienia z wieszczonym przez Lenina globalnym obumieraniem państwowości, gdyż zdaje się ona charakteryzować dużą siłą przetrwania, pozwalającą jej na dostosowywanie się do nowych okoliczności, dzięki czemu permanentnie obecne w świecie idee wyobrażenie Doskonałego Państwa może przyjmować najrozmaitsze postacie zgodnie z przesłaniem *fluctuat nec mergitur*.

Słowa kluczowe: państwo, umieranie, trwanie, wskrzeszanie, Lenin, Platon, idea.

Abstract

Transitoriness is very popular phenomenon, typical for living organisms. We can sensu largo also treat political organisations as such mortal beings. Political history of mankind confirmates this hypothesis, because there are many examples of fallen states. But from the other side not only exists from thousands years chinese statehood, but also you see israelian casus, which demonstrates, that it is possible to resuscitate state after period of many ages, if appears political will together with favourable conditions. But generally in this period it's rather evident, at least in Europe, that national state collapses. This constatation however does not means, that we observe the global processus of state's necrosis, because statehood has the great large of survival, so imagination of Perfect State,

permanent present in the world of ideas, can steadily to exist as real political organisation in many different forms, in accordance with device fluctuat nec mergitur.

Keywords: state, dying, continuing, reviving, Lenin, Platon, idea.